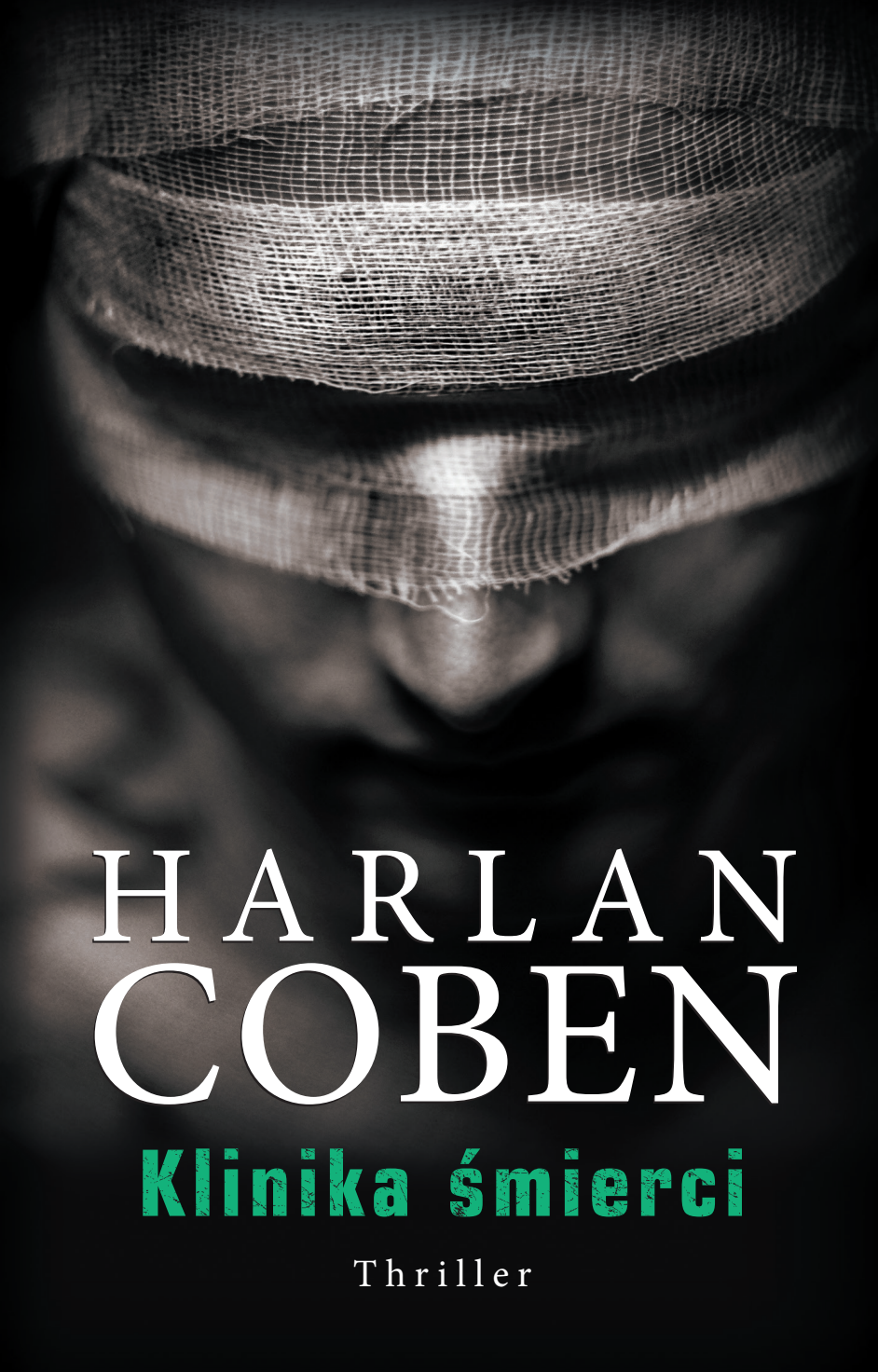




HARLAN
COBEN

Klinika śmierci

Thriller

Prolog

Piątek, 30 sierpnia

Doktor Bruce Grey próbował zwolnić kroku. Najchętniej popędziłby ile sił w nogach po brudnej posadzce hali przylotów międzynarodowego lotniska imienia Kennedy'ego i mijając odprawę celną, wybiegł z terminalu w parną noc. Zwalczył jednak tę pokusę. Szedł równym krokiem, spoglądając nerwowo na boki. Przystawał co chwila i kręcąc głową – jakby miał zeszytniałą szyję – zerkał ukradkiem przez ramię, by się upewnić, że nie jest śledzony.

Przestań! – upomniął siebie w duchu. Przestań się zachowywać jak niewydarzony James Bond. W dodatku trzęsiesz się jak galareta. Na miłość boską, zwracasz na siebie uwagę. Masz wszystko wypisane na twarzy.

Przechodząc obok taśmociągu z bagażami, skinął uprzejmie głową w kierunku niewysokiej starszej kobiety, która siedziała wcześniej obok niego w samolocie. Przez całą podróż gadała jak najęta o swojej rodzinie, zamiłowaniu do latania i ostatniej wycieczce za ocean. Była miła, ot, po prostu zwykła staruszka, ale Bruce zamknął oczy, udając, że śpi, bo pragnął spokoju i wypoczynku. Sen jednak nie nadszedł.

A może to nie jest żadna babcia, Brusiu? Może ona cię śledzi...?

Potrząsnął głową, żeby odpędzić tę myśl. Miał już kręćka od tego wszystkiego. Najpierw był przekonany, że śledzi go ten brodacz siedzący w samolocie. Potem stojący w budce telefonicznej dryblas z zaczesanymi do tyłu włosami, w garniturze od Armaniego. No i ta ładna blondynka przy wyjściu z terminalu. Ona też go śledziła.

A teraz stara babcia.

Weź się w garść – powtarzał sobie w duchu. Paranoja nic tu nie pomoże, kolego. Najważniejsze to mieć jasny umysł.

Podszedł do odprawy celnej.

– Kontrola paszportowa.

Wyjął paszport.

– Nie ma pan bagażu?

Pokręcił głową.

– Nie. Tylko podręczny.

Celnik spojrzał na zdjęcie w paszporcie.

– Niezbyt pan podobny – stwierdził.

Bruce próbował się uśmiechnąć, ale usta ani drgnęły. Było strasznie parno. Koszula lepila mu się do pleców, połuźniony krawat prawie się rozwiązał, a na czoło wystąpiły krople potu.

– No bo... No bo... Trochę się zmieniłem.

– Trochę?! Na tym zdjęciu jest pan brunetem i ma pan brodę.

– Wiem, ale...

– A przede mną stoi gładko ogolony blondyn.

– No właśnie mówię, że się trochę zmieniłem...

Na szczęście na fotografii nie widać koloru oczu, bo spytałbyś, dlaczego z piwnych zrobiły się niebieskie, pomyślał.

Celnik patrzył na Bruce'a podejrzliwie.

– Podróżował pan służbowo czy w celach turystycznych?

– W celach turystycznych.

– I zawsze wyjeżdża pan bez bagażu?

Bruce przełknął ślinę i wzruszył ramionami.

– Nie znoszę czekać na odbiór walizek – odparł.

Celnik popatrzył znowu na zdjęcie, a potem na Greya.

– Proszę otworzyć bagaż.

Trzęsącymi się rękami Bruce zaczął wprowadzać szyfr w zamku. Udało mu się dopiero za trzecim razem i wreszcie odblokował zatrzask.

– Proszę.

Celnik zmrużył oczy i zaczął szperać w torbie.

– Co to? – spytał.

Bruce wstrzymał oddech.

– Dokumenty – wydukał drżącym głosem.

– Widzę. Jakie dokumenty?

– Jestem lekarzem. W wolnych chwilach przeglądałem dokumentację medyczną kilku pacjentów.

– Zawsze pan tak robi, gdy jedzie pan na urlop?

– Nie zawsze.

– Jaką pan ma specjalizację?

– Interna w szpitalu uniwersyteckim, w Columbia Presbyterian – odparł Bruce, zatajając, że jest także epidemiologiem.

– Rozumiem. Chciałbym, żeby mój lekarz tak się przejmował swoimi pacjentami.

Znów próbował się uśmiechnąć, ale i tym razem mu się nie udało.

– A ta zaklejona koperta?

Stężał.

– Słucham?

– Pytam o tę dużą szarą kopertę.

Zrobił niewinną minę.

– Ach, to. W środku są informacje medyczne, które muszę przesłać koledze.

Celnik wbił spojrzenie w przekrwione oczy Bruce'a.

– No tak – odparł po chwili i włożył kopertę z powrotem do torby. Poszperał jeszcze chwilę w zawartości, a potem podpi-

sał deklarację celną. – Proszę, oto pański paszport i deklaracja. Trzeba ją oddać urzędniczce przy wyjściu.

Bruce wziął torbę.

– Dziękuję.

– Jeszcze jedno, panie doktorze.

– Tak?

– Może powinien się pan zobaczyć z jakimś kolegą po fachu. Proszę wybaczyć, bo nie jestem lekarzem, ale według mnie wygląda pan okropnie.

– Tak zrobię.

Bruce ruszył przed siebie. Po paru sekundach zerknął do tyłu. Starsza kobieta wciąż czekała na bagaż. Brodacze i ładna blondynka zniknęli. Dryblas w garniturze od Armaniego ciągle rozmawiał przez telefon.

Szedł do wyjścia. W prawej ręce trzymał torbę, lewą otarł twarz. Oddał deklarację i wyszedł przez rozsuwające się szklane drzwi. Przed sobą zobaczył skupisko uważnych twarzy. Ludzie stawali na palcach i wyciągali szyje, a gdy w dwuskrzydłowych drzwiach ukazywała się nieznajoma postać, rozczarowani opuszczali głowy.

Wyminał ludzi czekających na przyjaciół i krewnych oraz grupkę znudzonych szoferów trzymających kartki z nazwiskami przylatujących gości. Podeszedł do stanowiska Japan Airlines po prawej stronie.

– Czy jest gdzieś tutaj skrzynka na listy? – spytał.

– Tam dalej – odparła kobieta. – Przy Air France.

– Dziękuję.

Mijając pojemnik na śmieci, swobodnym ruchem wrzucił do niego podartą kartę pokładową. Wydawało mu się, że jest bardzo sprytny, bo zarezerwował lot na fałszywe nazwisko – zmienił jednak zdanie o sobie, gdy przyjechał na lotnisko i przekonał się, że w paszporcie i na bilecie muszą figurować te same dane osobowe.

Co za skucha!

Na szczęście wciąż były wolne miejsca, więc kupił drugi bilet. Doszedł do wniosku, że rezerwacja na fałszywe nazwisko nie była aż tak głupim posunięciem, jak mogłoby się wydawać. Ponieważ drugi bilet kupił tuż przed odlotem, nikt się nie zorientował, dokąd się wybiera, bo jego nazwisko zostało wciągnięte na listę pasażerów dosłownie w ostatniej chwili.

Owszem, Brusiu. Prawdziwy z ciebie geniusz, podsumował w duchu z przekąsem.

Akurat!

Zobaczył skrzynkę na listy przy stanowisku linii Air France. Kilku pasażerów rozmawiało z kobietą za kontuarem, nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozejrzał się szybko dokoła. Starsza kobieta, ładna blondynka i brodacze albo już wyszli, albo wciąż czekali na odbiór bagażu. Jedyнным „szpiegiem”, którego zobaczył, był dryblas w garniturze od Armaniego – właśnie wyłonił się zza rozsuwanych drzwi i szybkim krokiem skierował do wyjścia z terminalu.

Bruce odetchnął z ulgą. Zerknął znowu na skrzynkę na listy. Sięgnął do torby, wyjął szarą kopertę i błyskawicznym ruchem wsunął ją w otwór.

Uff, teraz ma polisę ubezpieczeniową.

I co dalej?

Powrót do domu był wykluczony. Jeśli ktoś go szukał najpierw sprawdzi właśnie mieszkanie na Upper West Side. Klinika? Zbyt późna pora. Mogliby go tam dopaść bez świadków.

Rany, nie znam się na tym. Jestem zwykłym lekarzem. Studiowałem medycynę, potem się ożeniłem, wychowałem dziecko, zrobiłem specjalizację, rozwiodłem się, straciłem prawa rodzicielskie, a teraz tyram jak wół. Nie znam się na zabawie w agentów, usprawiedliwiał się w myślach.

Ale jaka była alternatywa? Mógł pójść na policję, lecz czy ktokolwiek mu uwierzy? Na razie nie miał żadnych dowo-

dów. W zasadzie to sam nie wiedział do końca, co tak naprawdę się dzieje.

Spróbuję inaczej. Zacznę krzyczeć: „Ratunku, pomocy! Zamordowano już dwie osoby i być może zginie jeszcze wielu innych ludzi, w tym ja!”, rozmyślał gorączkowo.

Może to prawda. A może nie. Pytanie: co tak naprawdę wie? Odpowiedź: prawie nic. Zdawał sobie sprawę, że gdyby poszedł na policję, pogrzebałby klinikę i cenny dorobek kilku lekarzy. Poświęcił trzy lata na te badania. Nie zamierzał teraz dać tym cholernym bigotom broni do ręki, żeby udupili całe przedsięwzięcie.

Musi to załatwić inaczej.

Ale jak?

Znowu zerknął przez ramię, by się upewnić, że nie jest śledzony. Wszyscy „szpiedzy” zniknęli. Dobrze, co za ulga. Zatrzymał taksówkę i wskoczył na tylne siedzenie.

– Dokąd? – spytał kierowca.

Chwila zastanowienia. Bruce próbował sobie przypomnieć wszystkie przeczytane powieści szpiegowskie. Dokąd pojechałby George Smiley? Albo jeszcze lepiej Travis McGee lub Spenser?

– Do hotelu Plaza poproszę.

Taksówka ruszyła w kierunku Manhattanu. Patrzył przez tylną szybę, żeby się upewnić, czy nie jedzie za nimi jakiś samochód. Chyba nie. Po chwili rozparł się wygodnie. Od-dychał głęboko, próbując się rozluźnić, ale wciąż czuł obezwładniający strach.

Myśl, cholera jasna. To nie pora na drzemkę, upomniął się w duchu.

Po pierwsze, potrzebował nowej tożsamości. Spojrzał w prawo, w lewo, wreszcie skupił wzrok na licencji taksówkarza zawieszanej na tablicy rozdzielczej: John Benson. Dobra, do jutra będzie się nazywał John Benson. Sęk w tym, żeby przeżyć do jutra...

Wszyscy w klinice myśleli, że nadal przebywa na wakacjach w meksykańskim Cancún. Nikt nie miał pojęcia, że te wakacje były tylko przykrywką. Odegrał rolę szczęśliwego urlopowicza. Kupił sobie sprzęt plażowy i poleciał w zeszły piątek do Meksyku. Zameldował się w hotelu Oasis i zapłacił za tydzień pobytu, ale powiedział recepcjoniście, że wybiera się w rejs łodzią, więc będzie niedostępny. Potem zgolił brodę, obciął i ufarbował sobie włosy i włożył niebieskie szkła kontaktowe. Sam z trudem rozpoznawał siebie w lustrze. Wrócił na lotnisko i pod nazwiskiem Rex Veneto poleciał we właściwe miejsce, żeby się przekonać, czy w straszliwych podejrzeniach jest choćby ziarnko prawdy.

Prawda okazała się bardziej wstrząsająca, niż to sobie wyobrażał.

Taksówka zahamowała przed hotelem Plaza przy Piątej Alei. Po drugiej stronie błyskały światła Central Parku. Bruce zapłacił kierowcy, dając mu odpowiedni napiwek – nie za duży, nie za mały – i wszedł do eleganckiej recepcji. Choć miał na sobie szykowny garnitur, czuł się jak niechluj. Marynarka była pomięta, spodnie wygniecione – wyglądały, jakby wyciągnął je psu z gardła.

Ruszył w kierunku recepcji, gdy nagle stanął jak wryty, bo kątem oka dostrzegł znajomą postać.

Mam urojenia. To nie on. Niemożliwe, powtarzał bezgłośnie.

Poczuł przyspieszone bicie serca. Odwrócił się błyskawicznie, ale dryblas w garniturze od Armaniego zniknął. A może w ogóle go tu nie było?

Na pewno mi się przywidziało, pomyślał Bruce. Jednak lepiej nie ryzykować.

Wyszedł z hotelu tylnym wyjściem i ruszył do metra. Kupił bilet i pojechał na Czternastą Ulicę, tam zaś przesiadł się do pociągu jadącego na Czterdziestą Drugą i dotarł na stację przy Trzeciej Alei. Wskoczył na peron, gdy drzwi już

się zamykały. Przez kolejne pół godziny jeździł po mieście, zmieniając pociągi, za każdym razem wysiadając w ostatniej chwili. Wreszcie dotarł na róg Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy i Ósmej Alei. Po pokonaniu kilku przecznic „John Benson” wszedł do hotelu Days Inn, gdzie nigdy nie postąpiła noga doktora Bruce’a Greya.

Zameldował się i wjechał windą na jedenaste piętro. Wszedł do środka, zamknął drzwi na zamek i założył łańcuch.

I co teraz?

Rozmowa telefoniczna mogła się okazać fatalnym błędem, ale postanowił zaryzykować. Pogada szybko z Harveyem. Tylko kilka minut.

Wykręcił numer. Kolega odpowiedział po drugim sygnale.

– Słucham.

– To ja.

– Bruce? Jak tam w Cancún?

– Musimy pomówić.

– Ej, co jest? Dziwnie się zachowujesz. Stało się coś?

Zamknął oczy.

– Musimy pogadać – powtórzył. – Ale nie przez telefon.

– O co chodzi? Jesteś ciągle...

– Nie przez telefon! Porozmawiamy jutro.

– Jutro? Ale co się dzieje?

– Nie pytaj teraz. Spotkamy się jutro o wpół do siódmej rano.

– Gdzie?

– W klinice.

– Chryste, Bruce! Czy coś ci grozi? Czy chodzi o te zabójstwa?

– Nie mogę teraz gad...

Z korytarza dobiegł cichy trzask.

– Ej! – krzyknął Harvey do słuchawki. – Co się dzieje?!

Bruce wpatrywał się w drzwi. Serce biło mu jak oszalałe.

– Jutro – szepnął. – Jutro wszystko ci wyjaśnię.

– Ale...

Odłożył delikatnie słuchawkę, przerywając rozmowę.

Nie nadaję się do tego. Boże, spraw, żeby mi się przesłyszało. Nie nadaję się do tego. Nie nadaję. Jestem lekarzem, panikował.

Przez chwilę panowała cisza, więc doszedł do wniosku, że ma stargane nerwy i wyobraźnia płata mu figle. Zapewne nic się nie działo, a jeśli nawet, to co w tym dziwnego? Siedzi przecież w śródmiejskim hotelu, a nie w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Może to pokojówka albo boy.

A może to ten dryblas z przylizanymi włosami, w garniturze od Armaniego?

Zaczął się skradać do drzwi, uważnie stawiając stopy. Nigdy nie był nadzwyczaj sprawny fizycznie i nie miał dobrej koordynacji ruchowej, więc wyglądał jak epileptyk tańczący fokstrotą.

Znowu trzask.

Serce skoczyło mu do gardła i poczuł, że kolana się pod nim uginają. Nie było wątpliwości – po drugiej stronie coś się działo.

Staął jak sparaliżowany. Usłyszał własny oddech – tak głośny, że słyszać go było chyba we wszystkich pokojach na tym piętrze.

Klik. Klik.

Krótkie, ciche trzaski.

Uciekaj, Bruce. Ukryj się, rozkazał sobie w myślach.

Ale gdzie? Był zamknięty w małym hotelowym pokoju. W dodatku na jedenastym piętrze. Gdzie mógłby się schować, do cholery? Zbliżył się o kolejny krok.

Może otworzyć gwałtownie drzwi, wyskoczyć na korytarz i narobić hałasu? – zastanawiał się gorączkowo. Może...

Pukanie rozległo się tak nagle, że o mało nie krzyknął ze strachu.

– Kto to?!

– Roznoszę ręczniki – dobiegł męski głos.

Ręczniki? Takiego wała!

– Dziękuję bardzo, ale nie potrzebuję – odpowiedział.

Chwila ciszy.

– Dobrze, w takim razie życzę panu dobrej nocy.

Usłyszał oddalające się kroki. Przywarłszy plecami do ściany, przysunął się do samych drzwi. Dygotał. Choć w pokoju działała klimatyzacja, koszulę miał mokrą od potu, a włosy przyklejone do wilgotnego czoła.

I co teraz?

Wyrzyj przez judasza, pieprzony Bondzie. Od czego jest judasz? – ponaglił się w duchu.

Usłuchał głosu wewnętrznego. Powoli przystawił głowę do drzwi. Nic. *Nada*, jak mówią Meksykanie. Żywego ducha. Spróbował zerknąć w prawo, potem w lewo...

W następnej sekundzie drzwi omal nie wyleciały z zawiasów.

Łańcuch pękł jak cienka nić, a metalowa klamka wbiła się Bruce'owi w biodro. W całym ciele poczuł porażający ból. Instynktownie chwycił się za biodro, lecz okazało się, że popełnił błąd, bo zza drzwi wystrzeliła ogromna ręka. Próbował zrobić unik, ale miał spóźniony refleks. Pięść ze straszliwą siłą trafiła go w nos, łamiąc kość i chrząstkę. Z nozdrzy trysnęła krew.

Słodki Boże...

Zachwiał się do tyłu, chwytając za twarz. Do pokoju wszedł dryblas w garniturze od Armaniego. Zamknął za sobą drzwi. Jak na człowieka tak wielkiej postury poruszał się z zadziwiającą zwinnością.

– Błagam... – wybełkotał Bruce, ale w tej samej chwili dłoń wielkości boksterskiej rękawicy zatkała mu usta, brutalnie miażdżąc strzaskany nos, co spowodowało dodatkową eksplozję nieopisanego bólu.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął uprzejmie głową, jakby właśnie zawarli znajomość na eleganckim przyjęciu. A potem podniósł nogę i z niesamowitą precyzją wymierzył Bruce'owi kopniaka w kolano, gruchocząc rzepkę. Bruce usłyszał trzask pękającej kości. Dłoń przyciśnięta do ust stłumiła rozziewający krzyk. A potem cofnęła się na moment i zadała cios w żuchwę, łamiąc kolejną kość i wybijając kilka zębów. Mężczyzna chwycił Greya za przetrąconą szczękę, włożył mu palce do ust i szarpnął silnie do dołu. Bruce poczuł nieopisany ból rozrywanych ścięgien.

O Boże, błagam...

Zwalił się na podłogę jak worek ziemniaków. W głowie mu huczało. Patrzył zamglonymi oczami, jak mężczyzna przygląda się plamie krwi na swojej marynarce. Wydawał się poirytowany. Może się martwił, że plama się nie spierze? Pokręcił z niezadowoleniem głową, a potem podszedł do okna i rozsunął zasłony.

– Miło, że wybrałeś wysokie piętro – powiedział swobodnie. – To ułatwia sprawę.

Odwrócił się od okna. Podszedł z powrotem do skulonego na podłodze Bruce'a. Pochylił się, chwycił go mocno za stopę i delikatnie podniósł nogę ze strzaskanym kolaniem. Bruce'em targnął przeszywający ból.

Błagam, Boże! Spraw, bym stracił przytomność, modlił się w myślach.

Nagle zrozumiał, co mężczyzna zamierza zrobić. Chciał coś powiedzieć, spytać, czy mogliby się dogadać, chciał mu zaoferować wszystko, co ma, błagać o litość, ale ze zmasakrowanych ust dobiegał tylko charkot. Bezradny i przerażony patrzył błagalnie na oprawcę. Krew spływała mu po twarzy na szyję i pierś.

Półprzytomny z bólu spojrzał mężczyźnie w oczy. Nie zobaczył w nich szaleństwa, nienawiści ani żądzy mordu. Tamten wydawał się całkowicie spokojny, wcale nie przypominał

psychotycznego zabójcy. Zachowywał się tak, jakby wykonywał zwykłą pracę. Był zdystansowany, wyzbyty emocji.

To dla niego jak splunięcie. Jak kolejny dzień w biurze, przyszło mu nagle do głowy.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął długopis i kartkę i rzucił je na podłogę. A potem chwycił znowu Greya za stopę, jedną ręką za piętę, drugą za palce. Lekarz zaczął się miotać w niewyobrażalnej agonii.

– Wykręcę ci nogę do końca – powiedział mężczyzna, napinając mięśnie. – Aż palce będą z tyłu, a złamana kość wyjdzie przez skórę. – Zamilkł i uśmiechnął się refleksyjnie. Zaciśnął mocniej dłonie. – A puszczyć dopiero, gdy skończysz pisać list pożegnalny. Bo zamierzasz popełnić samobójstwo, rozumiemy się?

Bruce pośpiesznie chwycił długopis.

Rozdział 1

Sobota, 14 września

Sara Lowell zerknęła na zegarek. Za dwadzieścia minut miała zadebiutować w ogólnokrajowej telewizji, w programie oglądanym przez trzydzieści milionów ludzi. Za godzinę zadecyduje się jej przyszłość.

Dwadzieścia minut.

Przełknęła ślinę, przystanęła i poprawiła ortezę na nodze. Jej pierś falowała wyraźnie. Musi coś zrobić, bo inaczej zwariuje. Metalowa orteza ocierała skórę. Po tych wszystkich latach Sara wciąż nie mogła przywyknąć do noszenia tego niewygodnego przedmiotu. Owszem, utykała. Utykała, odkąd sięgała pamięcią, a więc wydawało się to prawie naturalne. Jednak nieporęczną ortezę najchętniej wyrzuciłaby do rzeki.

Wzięła głęboki oddech, próbując się rozluźnić. Spojrzała w lustro, żeby sprawdzić makijaż. Była nieco blada, ale to nic nowego. Przyzwyczaiła się do tego tak samo jak do utykania. Zaczesane do tyłu włosy koloru miodu odsłaniały twarz o pięknych delikatnych rysach i dużych zielonych oczach jak u lalki. Zmysłowe usta były tak wydatne, że wyglądały prawie na spuchnięte. Zdjęła okulary w drucianej oprawce i przetarła szkła. Podszedł jeden z producentów.

– Jesteś gotowa? – spytał.

- W każdej chwili – odparła, uśmiechając się słabo.
- Dobrze. Wchodzisz z Donaldem za kwadrans.

Spojrzała na współgospodarza programu. Donald Parker miał sześćdziesiąt lat, a więc był od niej dwa razy starszy. I tysiąckrotnie bardziej doświadczony. Występował w *News-Flash* od samego początku, zanim program stał się najbardziej popularnym talk-show na rynku telewizyjnym. Parker był legendą w świecie dziennikarstwa.

Co ja tu robię, do cholery? W ogóle się do tego nie nadaję.

Zerknęła nerwowo na materiały – chyba już po raz miliony. Słowa na kartce się zamazywały. Znowu zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że w tak szybkim tempie zabrnęła aż tak daleko. Przypomniła sobie studenckie lata, felietony w „New York Heraldzie”, pracę w telewizji kablowej, debaty w telewizji publicznej. Na każdym kolejnym szczeblu kariery wydawało się jej, że nie potrafi już zrobić następnego kroku. Do pasji doprowadzały ją zawistne szeptaki kolegów z pracy: „Też bym chciał mieć sławnego tatę”. Albo: „Ciekawe, z kim się przespała”. „Kuleje, więc wszyscy się nad nią litują”.

A jednak prawda była znacznie prostsza: widzowie ją uwielbiali. Jeśli nawet czasem traktowała swoich gości obcesowo lub ironicznie, publiczność i tak patrzyła na nią jak zauroczona. Owszem, jej ojciec był kiedyś naczelnym lekarzem kraju, a mąż jest gwiazdorem koszykówki. Być może trudne dzieciństwo i uroda również pomogły jej w karierze. Ale Sara pamiętała, co powiedział jej pierwszy szef:

– Nikt nie przetrwa w tej branży tylko dzięki ładnej buzi. Przeciwnie: ładna twarz bywa przeszkodą. Bo ludzie z góry uznają, że ładna blondynka musi być mało bystra. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale tak właśnie jest. Staraj się więc być lepsza od innych. W przeciwnym razie przykleją ci etykietkę kretyńki. Jeśli nie będziesz najlepsza, zepchną cię ze sceny.

Sara powtarzała sobie często te słowa w myśli niczym okrzyk wojenny. A jednak w tej chwili czuła wielką treść. Miała dziś zadebiutować w rozmowie na temat szwindli finansowych wielbego Ernesta Sandersa, kaznodziei telewizyjnego, który założył Świętą Krucjatę. Sanders był oślizgłą fiszą. Zgodził się na wywiad, chcąc odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty – pod warunkiem że *NewsFlash* wyświetli u dołu ekranu numer telefonu, pod którym jego organizacja zbierała fundusze. Sara usiłowała zachować jak największy obiektywizm w całej sprawie. Postanowiła po prostu przekazać fakty, powstrzymując się od komentarzy i interpretacji. W głębi ducha знаła jednak prawdę.

Wielebny Sanders był zwykłym oszustem.

W studiu panowało zamieszanie. Technicy przygotowywali sprzęt i ustawiali światło. Przesuwano kamery i testowano teleprompter, na którym każda linijka tekstu składała się tylko z trzech słów, aby prowadzący nie musieli wyraźnie poruszać oczami podczas czytania. Reżyserzy, producenci i asystenci uwijali się na planie przypominającym duży dzienny pokój – bez sufitu i tylko z jedną ścianą, jakby resztę usunął wielki potwór, który chciał zajrzeć do środka. Do Sary podbiegł nieznajomy mężczyzna.

- Proszę – powiedział, podając kilka kartek.
- Co to? – spytała.
- Papiery.
- To widzę, ale po co?
- Do wertowania – odparł, wzruszając ramionami.
- Do wertowania?
- Tak. No wie pani, będzie przerwa na reklamę. Kamera zrobi odjazd, a pani wtedy przewertuje.
- Że co?
- Tak będzie poważniej wyglądało – wyjaśnił i pobiegł dalej.

Sara pokręciła głową.

Wciąż muszę się dużo uczyć.

Po chwili zaczęła nieświadomie śpiewać. Najczęściej śpiewała pod prysznicem albo w samochodzie, najlepiej do akompaniamentu głośno nastawionego radia, ale czasem, zwłaszcza gdy była podenerwowana, śpiewała też w obecności innych ludzi. I to głośno.

Kiedy dotarła do refrenu *Wytatuowanego wampira* („...wampir z obrazka wgryza się w skórę...”), zaczęła grać na wyimaginowanej gitarze, całkowicie tracąc poczucie rzeczywistości.

Chwilę później uświadomiła sobie, że ludzie się jej przyglądają.

Opuściła ręce, a idealnie dostrojona gitara popadła w zapomnienie. Słowa piosenki zamarły na ustach. Sara uśmiechnęła się, wzruszając ramionami.

– Eee... Przepraszam.

Członkowie ekipy natychmiast wrócili do pracy.

Próbowała pomyśleć o czymś, co dodałoby jej otuchy.

Michael! Zastanawiała się, co on teraz robi. Pewnie wraca biegiem do domu po treningu. Wyobraziła sobie jego prawie dwumetrową postać – z białym ręcznikiem zarzuconym na szyję i w przepoconej szarej koszulce otwiera kluczem drzwi. Zawsze nosił zwariowane spodenki – sięgające do kolan szorty hawajskie we wściekle pomarańczowym, żółtym lub różowym kolorze. Nie zwalniając kroku, przebiega obok fortepianu. W pokoju włącza Bacha, skręca do kuchni i nalewa sobie świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Wypija połowę jednym haustem. A potem osuwa się na fotel i w skupieniu słucha muzyki kameralnej.

Michael.

Puknięcie w ramię.

– Telefon do pani – powiedział ten sam mężczyzna, który przed chwilą podał jej kartki.

Wzięła aparat.

- Słucham.
- Zaczęłaś już śpiewać?
- Sara rozciągnęła usta w uśmiechu.
- Michael!
- No to co, byli już Blue Oyster Cult?
- Tak.
- Niech zgadnę. *Nie bój się kostuchy?*
- Nie. *Wytatuowany wampir.*
- Boże, to okropne. No więc co się dzieje?
- Sara zamknęła oczy. Poczuła, że napięcie mija.
- Nic szczególnego. Wałęsam się obok planu. Czekam.
- Grasz na niewidzialnej gitarze?
- Skąd! Przestań, jestem zawodową dziennikarką.
- Dobra, dobra. Bardzo się denerwujesz?
- Nie. Pełny spokój.
- Kłamczucha – powiedział Michael.
- No dobrze, niech ci będzie. Jestem półprzytomna ze strachu. Zadowolony?
- Jeszcze jak! Nie posiadam się ze szczęścia. Ale pamiętaj o jednym.
- O czym?
- Zawsze masz tremę przed programem. A im większą masz treść, tym mocniej dajesz im popalić.
- Tak myślisz?
- Nie myślę, tylko wiem. Biedak nie ma pojęcia, co go czeka.
- Naprawdę tak uważasz? – odparła Sara z rozpromienioną twarzą.
- Naprawdę. Chciałbym przy okazji zadać ci szybkie pytanie. Czy musimy dziś iść na tę galę twojego ojca?
- Szybka odpowiedź brzmi: tak.
- I co, mam włożyć czarny krawat?
- Owszem.
- Te pompatyczne imprezy są okropnie nudne.

- Mnie nie musisz tego mówić.
Zamilkł na moment.
- A czy przynajmniej będę mógł być tam z tobą przez cały czas? – spytał.
- Kto wie? – odparła Sara. – Może ci się poszczęści. – Przycisnęła telefon policzkiem do ramienia. – Czy Harvey też się wybiera?
- Tak, zgarnę go po drodze.
- To dobrze. Wiem, że nie przepada za moim ojcem...
- To raczej twój ojciec nie przepada za nim – poprawił Michael.
- Wszystko jedno. Porozmawiasz z nim dzisiaj?
- O czym?
- Przestań się zgrywać. Martwię się o twoje zdrowie.
- Harvey ma w tej chwili dość innych kłopotów. Wiesz, śmierć Bruce’a i te problemy w klinice. Nie chcę mu zawracać głowy.
- A rozmawialiście o samobójstwie Bruce’a?
- Nie – odparł Michael. – Szczerze mówiąc, trochę się o niego martwię. Przez cały czas siedzi w laboratorium. Pracuje dniami i nocami.
- Zawsze taki był.
- Niby tak, ale tym razem jest inaczej.
- Daj mu trochę czasu. Minęły dopiero dwa tygodnie od śmierci Bruce’a.
- Nie chodzi tylko o to.
- A o co?
- Nie wiem. To chyba się wiąże z kliniką.
- Proszę cię, skarbie, porozmawiaj z nim o tych bólach brzucha.
- Saro, przecież...
- Proszę cię. Zrób to dla mnie.
- No dobrze – zgodził się Michael niechętnie.
- Obiecujesz?

- Obiecuję. Aha, jeszcze jedno.
 - Tak?
 - Skop tyłek temu kaznodziei z Południa.
 - Kocham cię.
 - Ja ciebie też kocham.
- Poczuła dotknięcie w ramię.
- Dziesięć minut, proszę pani.
 - Michael, muszę biec.
 - To do wieczora – powiedział. – Marzę o chwili, gdy znajdę się sam na sam z pewną gwiazdą telewizyjną w jej dawnej sypialni.
 - Pomarzyć dobra rzecz.

• • •

Odkładając słuchawkę, Michael poczuł nagły ból w żołądku. Skrzywiony zgął się wpół i chwycił za brzuch. Żołądek dokuczał mu już od kilku tygodni. Najpierw pomyślał, że może to objawy grypy, ale nie był tego pewien. Boleści się nasilały, stawały nie do zniesienia. Zaczynał się wzdragać na myśl o jedzeniu.

Siódma symfonia Beethovena wypełniła pokój niczym miły powiew wiatru. Zamknął oczy – muzyka zaczęła na niego oddziaływać jak delikatny masaż na zmęczone mięśnie. Koledzy z drużyny bezlitośnie drwili z jego gustów muzycznych. Napastnik Reece Porter, czarny kapitan New York Knicksów, bez przerwy się z nim droczył.

– Jak ty możesz słuchać tego gówna, Mikey? – pytał. – W tym nie ma rytmu.

– Zdaję sobie sprawę, że jako muzyk Chopin nie dorównuje MC Hammerowi. Ale postaraj się mieć otwarty umysł. Zwyczajnie posłuchaj, Reece. Pozwól, żeby te tony w ciebie weszły.

Kolega słuchał przez chwilę w milczeniu.

– Mam wrażenie, jakby mnie zamknęli u dentysty – skwi-

tował. – Że też ty puszczasz to przed meczem. Przy tym nie można tańczyć ani nic.

– Bo tego się słucha.

– Czego? Przecież nie ma słów.

– A w tym wyciu, które lubisz, są słowa? Rozumiesz co-kolwiek w tym hałasie?

Reece parsknął śmiechem.

– Mikey, jesteś typowym białym snobem – odparł.

– Wolę, jak mnie nazywasz nadętym białym dupkiem.

Stary dobry Reece. Michael podniósł do ust szklankę z sokiem, ale na myśl o wypiciu poczuł mdłości. W zeszłym roku kolano, a teraz żołądek. A może wątroba? To bez sensu. Zawsze był najzdrowszym graczem w całej lidze. W pierwszych dziesięciu sezonach NBA nie zaliczył nawet zadrapania. Ale ponad rok temu miał poważną kontuzję kolana. Nie był już młodzieniaszkiem, więc powrót do formy po operacji i rekonstrukcji rzepki okazał się niełatwy. A teraz te tajemnicze bóleści...

Odstawił szklankę i podszedł do magnetowidu. Nastawił nagrywanie. Potem wyłączył odtwarzacz stereofoniczny telewizor. Sara zadebiutuje za dziesięć minut. Wiercił się niespokojnie w fotelu. Obracał obrączkę na palcu i ocierał twarz. Próbował się rozluźnić, ale nie mógł – podobnie jak jego żona. Wszystko, co powiedział jej przez telefon, było prawdą. Jest niesamowitą dziennikarką. Jest najlepsza. Bystra i inteligentna. Zawsze świetnie przygotowana, ale zarazem spontaniczna. Może czasem odrobinę przemądrzała. W napiętych sytuacjach zachowywała poczucie humoru. I niemal zawsze ostro kąsała.

Michael wiedział z doświadczenia, jak trudną rozmówczynią bywa Sara. Poznali się przed sześcioma laty, kiedy chciała przeprowadzić z nim wywiad dla „New York Herald” – dwa dni przed rozpoczęciem finałów NBA. Miała to być rozmowa o życiu prywatnym, poza parkietem. Michae-

lowi się to nie spodobało. Nie chciał, żeby ludzie czytali na pierwszych stronach gazet o jego sprawach osobistych, zwłaszcza o przeszłości. Co ich to obchodzi? Powiedział to Sarze przez telefon i odłożył słuchawkę. Ale się nie zniechęciła. Bo Sara Lowell nie umiała rezygnować. Chciała mieć ten wywiad. I go dostała.

Przeszywający ból przepłoszył wspomnienia. Michael napiął mięśnie brzucha i zgiął się wpół. Czekał. Ból mijał bardzo powoli.

Co się ze mną dzieje, cholera?! – zastanawiał się zaniepokojony.

Wyprostował się i spojrzał na fotografię stojącą na półce za telewizorem: na zdjęciu obejmował w pasie swoją szczupłą żonę. Wyglądała tak krucho, tak boleśnie pięknie. Często się zastanawiał, dlaczego Sara sprawia wrażenie osoby delikatnej i niewinnej. Z całą pewnością nie chodziło o jej figurę. Pomimo kalectwa trzy razy w tygodniu ćwiczyła na siłowni. Miała jędrne, wysportowane ciało – diabelnie seksowne. Michael znów przyjrzał się uważnie fotografii, próbując obiektywnie popatrzeć na swoją żonę. Niektórzy twierdzili, że to błada porcelanowa cera nadaje jej delikatność, ale chodziło o coś innego. O oczy, pomyślał Michael. O te duże zielone oczy, z których wyziera kruchość i łagodność. Jednocześnie są inteligentne i przenikliwe. Sara miała ufne wejrzenie, a zarazem budziła zaufanie u innych ludzi. Mężczyzna mógł w tych oczach utonąć, przepaść na zawsze, zatracić się bez reszty.

Ponadto oczy Sary były diabelnie seksowne.

Rozmyślania przerwał dźwięk telefonu. Michael sięgnął do tyłu po słuchawkę.

– Słucham.

– Cześć.

– O, Harvey. Jak leci?

– Nieźle. Ja tylko na chwilę. Wiem, że zaraz jest program.

– Jeszcze parę minut. – W tle rozległ się trzask. – Ej, co tam się dzieje? Jesteś ciągle w szpitalu?

– Tak.

– A kiedy ostatni raz porządnie się wyspałeś?

– Przestań mi matkować.

– Tylko pytam – odparł Michael. – Myślałem, że zgarnę cię z domu.

– Nie mogłem się wyrwać. Poprosiłem jedną z pielęgniarek, żeby wypożyczyła dla mnie smoking. Strasznie dużo tu mamy roboty. Ja i Eric jesteśmy nią zawalenii. Bruce’a nie ma.

Zapadła chwila milczenia.

– Ciągle tego nie rozumiem – powiedział Michael, mając nadzieję, że przyjaciel jest już gotowy do rozmowy o samobójstwie Greya.

– Ja też nie – odparł Harvey beznamiętnym tonem. – Posłuchaj, chciałbym cię o coś spytać...

– Wal.

– Czy Sara będzie dzisiaj na tej imprezie?

– Tak, tylko trochę się spóźni.

– Ale będzie, tak?

Michael usłyszał natarczywe tony w głosie przyjaciela. Poznał go przed prawie dwudziestu pięciu laty – wtedy to świeżo upieczony lekarz Harvey Riker zajął się ósmioletnim Michaeliem Silvermanem, który wylądował w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu i złamaną ręką.

– Będzie.

– To dobrze. A więc widzimy się później.

Michael spojrzał zaintrygowany na słuchawkę.

– Harv, wszystko w porządku?

– Tak...

– To dlaczego zachowujesz się tak konspiracyjnie?

– No bo... Nie, nic. Później ci wyjaśnię. O której po mnie przyjedziesz?